

Rowerowe party

To miał być długi i wesoły rowerowy piknik z okazji nadejścia lata. Rzeczywiście, był długi i na swój sposób zabawny. Wszystko jednak potoczyło się inaczej, niż miało być. Na ten piknik ja, czyli Kasia i mój brat Kamil, czekaliśmy cały tydzień. Rodzice obiecali nam, że w sobotę razem wybierzemy się na rowerową wycieczkę. Poczyniono na tę okoliczność stosowne przygotowania. Tato wybrał trasę wycieczki. Wyliczył, że będzie ona liczyć 35 kilometrów. Mama przygotowała jedzenie, specjalnie na tę wyprawę, dbając, by każdy miał coś smacznego. Ja z bratem zaplanowaliśmy zabawy, w jakie będziemy się bawić podczas przerw. Wszystko było przygotowane. Gdy nadeszła sobota, od rana mieliśmy dobre humory. Wsiedliśmy na rowery i wyruszyliśmy na rowerowy piknik.

Początkowo wszystko szło zgodnie z planem. Tempo było duże, nikt się nie ociągał. Tato, który został mianowany pilotem wycieczki, co chwila podawał dystans jaki już pokonaliśmy. Pierwsze pięć kilometrów przejechaliśmy bez przeszkód. Jechaliśmy główną drogą. Na szczęście w sobotni poranek ruch na niej był niewielki. Przed nami był lasek, gdzie według obliczeń taty powinniśmy zjechać w leśną dróżkę i podczas dalszej podróży rozkoszować się pięknem leśnej zieleni. Dróżkę udało się odnaleźć, jednak z bardzo wielkim trudem. A wszystko dlatego, że była tak wąska, że trudno było ją dostrzec. Wszyscy zaczęli się zastanawiać, czy jest ona w ogóle przejezdna. Wszyscy oprócz taty, który pierwszy wjechał do lasu i nakazał, by reszta jechała za nim. Zresztą, innej możliwości nie było. Droga była tak wąska, że jazda obok siebie była niemożliwa. Co więcej po przejechaniu kolejnego kilometra okazało się, że dalsza jazda, nawet w pojedynkę, nie była możliwe. Droga zakończyła swój bieg w ogromnej bagnistej kałuży. Jak była ogromna, może świadczyć fakt, że nawet tato, który znany był z tego, że łatwo nie poddawał się trudnościom, tym razem sam zaproponował odwrót. Tak więc po bliskim kontakcie z przyrodą wróciliśmy go głównej drogi.

Na szczęście nie był to koniec wyprawy, ponieważ tato miał plan awaryjny. Szybko wyznaczył na mapie nową trasę. Była nią kolejna leśna droga. Była dużo szersza w porównaniu z poprzednią. Jechało się nią jak autostradą. Po dokładnym przestudiowaniu mapy tato stwierdził, że byliśmy na właściwej trasie. Poprzednia była zmyłką, po prostu za szybko skręciliśmy. To wyznanie nie spodobało się mamie. Miała już nawet ochotę odebrać tacie status pilota wycieczki, ale właśnie dojechaliśmy do pierwszej polany i zamiast buntu na pokładzie mieliśmy pierwszy, zaplanowany postój. Teraz to mama była w swoim żywiole. Z dużego koszyka, który był przyczepiony do jej roweru, zaczęła wyciągać przeróżne rzeczy. Termos, kubki, kubeczki, talerzyki, a nawet sztuczki. Do tego ręczniki i pojemniki ze smakołykami. Czy to wszystko było potrzebne? Początkowo powątpiewaliśmy, szybko jednak zmieniliśmy zdanie, gdy zobaczyliśmy istic królewskie nakrycie, mimo że było przygotowane na leśnej polanie. Wszyscy zajadali ze smakiem. Pochwałom nie było końca. Przed dalszą podróżą ze swoich obowiązków musiałam się wywiązać ja i Kamil. Przyszedł czas na postojową zabawę. Byliśmy oczywiście na to przygotowani. Mieliśmy niezawodną piłkę. Odbijanie piłki szło nam dobrze. Robiliśmy to w składzie naszej rodziny już wiele razy. Aby było ciekawiej proponowaliśmy, by po odbiciu piłki każdy zrobił obrót wokół własnej osi. Już po paru obrotach wszystkim kręciło się w głowie. Aby dalej jechać rowerami, musieliśmy chwilę odczekać, by złapać równowagę.

Ruszyliśmy w dalszą trasę. Nie ujechaliśmy jednak daleko. Wyprawę zatrzymała mama, której spadł łańcuch. Tato ruszył na pomoc. Niestety okazało się, że łańcuch zerwał się. Rower mamy nie nadawał się do dalszej jazdy. Czy to oznaczało koniec rowerowego party? Tato i tym razem wykazał się swoją zaciętością. Przypiął rower mamy do drzewa, a mamę posadził na bagażnik i jechaliśmy razem. Mamie się podobało. Tacie mniej. Jego rower był teraz bardzo obciążony. Oprócz mamy trzeba było jeszcze wieźć duży kosz z jedzeniem. Po przejechaniu kilometra tato wykazywał oznaki zmęczenia. Rower również miał najwyraźniej dość. W tylnym kole zbrakło powietrza. Na szczęście zapobiegliwy tato miał ze sobą pompkę. Okazało się jednak, że koło było przebite. W ten sposób nasza wyprawa została pozbawiona drugiego roweru.

Nasza determinacja jednak była ogromna. Nawet po utracie dwóch rowerów postanowiliśmy kontynuować wyprawę. Różniła się ona od tej zaplanowanej. Ja z bratem kontynuowaliśmy wyprawę rowerową, a rodzice szli pieszo. Można było sądzić, że limit nieszczęść mieliśmy już wyczerpany. Tak jednak nie było. Tym razem nie chodziło o kolejne rowery. Tym razem kapryśna okazał się pogoda. Zaczął padać deszcz. Po półgodzinnym opadach przedstawialiśmy sobą mało atrakcyjny wygląd. W części pozbawieni rowerów, przemoczeni wszyscy mieliśmy ochotę na szybki powrót. Dopiero teraz uświadomiliśmy sobie, że czeka nas długa droga powrotna. My mieliśmy sprawne rowery, ale rodzice nie pozwolili nam samym wracać. Razem ślamazarnie wracaliśmy do domu. Nie wiem, czy zdążylibyśmy przed nocą, gdyby nie pomysł taty. Wziął on mój rower i co sił w nogach pojechał do domu. Mój rower był na niego trochę za mały, ale w porównaniu z rowerem Kamila, nadawał się do jazdy. Tato nie pozostawił nas. Wrócił do domu tylko po to, by wziąć samochód i przyjechać po nas. Z wielką radością wsiedliśmy do suchego samochodu. Po drodze zabraliśmy jeszcze dwa zepsute rowery. Po powrocie do domu nasz piknik wcale się nie zakończył. Mama wydobyła z koszyka swoje zapasy. Piknik trwał. Kamil przyprowadził nawet do pokoju swój mały rower, byśmy poczuli się jak na prawdziwym rowerowym pikniku.

Lato czasami jest kapryśne, ale to nie jest powód, by z tego powodu nie urządzać party na jego powitanie.



Marta Skibicka